WYTĘŻAJMY SIŁY WOBEC GROŹNYCH NIEBEZPIECZEŃSTW, LECZ I UFAJMY — BÓG Z NAMI!

Gdy przed kilku miesiącami zwróciliśmy się do Czytelników naszych z gorącem wezwaniem, by zgłaszali swe nazwiska z przyrzeczeniem, że będą przez rok ten cały przystępować w pierwszą sobotę każdego miesiąca do Komunji św. za Polskę, i by innych do tego zachęcali, wezwanie nasze znalazło daleki oddźwięk wśród polaków katolików, i z różnych stron kraju naszego otrzymaliśmy i jeszcze otrzymujemy żądane przyrzeczenia, i to z wszystkich sfer społeczeństwa, od ludzi różnego wieku, a dzieci nasze drogie stanęły w tem pięknem dziele Komunji św. za Polskę rzec można na czele i pod względem liczby i pod względem radosnej gorliwości. Dziś, zdając z tego sprawę Czytelnikom naszym, czujemy jednak, jak wielu z nich z żalem i trwogą pyta: Czy nas aby Bóg wysłuchał? Wszak u nas w Polsce coraz gorzej i gorzej, i już zewsząd tylko słychać krakania i najgorsze proroctwa i wciąż ostrzegają, że stanęliśmy nad przepaścią, i że stosunki u nas obecnie są całkiem podobne do tych, jakie panowały w Rosji w przeddzień wybuchu i powstania bolszewji.

Na to z całą świadomością i dalecy od wszelkiego optymizmu i naiwności odpowiadamy z zupełnem poczuciem odpowiedzialności za nasze słowa: To nieprawda, nieprawda i jeszcze raz nieprawda. Jest u nas ciężko pod względem finansowym i gospodarczym, ale nie ciężej niż w wielu ościennych krajach, wielkich i bogatych. Jest u nas źle w niejednej miejscowości, tu i ówdzie lud miejski a czasem i wiejski odpada od gorliwości wiary ojców naszych, przejmuje się hasłami wrażemi i głupiemi komunizmu i bezbożności, ale żeby istniało jakieś podobieństwo między Polską obecną a Rosją przedbolszewicką, o tem nie może być mowy. Zaraz to udowodnimy.

Podstawą i rdzeniem państwa jest bezsprzecznie lud. Otóż któż śmie choćby na chwilę widzieć jakieś podobieństwo między ludem naszym a ludem rosyjskim. Lud rosyjski od wieków trzymano w najtwardszej niewoli i ciemnocie. Caryzm przy pomocy zastępów swych siepaczy z jak największą czujnością baczył na to, by do tego ludu nie doszedł misjonarz katolicki, niosący wraz z wiarą prawdziwą uświadomienie duchowe, nie dopuszczono do ludu szkół, odgraniczono go murem gorzej niż chińskim od światła cywilizacji zachodniej, a natomiast nie zdołano temu przeszkodzić, by raz poraz nie wślizgiwał się między lud agitator nihilistyczny, który wśród głupoty powszechnej znajdywał łatwy i chętny posłuch. Tymczasem u ludu naszego kwitnie i od lat wielu krzewi się prawdziwa oświata, uświadomienie obywatelskie i społeczne, poczucie godności człowieka wolnego i odpowiedzialnego za swe czyny. A chociaż nie wszystkie trzy części dawnej Polski jednako pod tym względem się rozwijały, to jednak i ten lud polski, który żył pod panowaniem cara, dzięki głównie pracy nad nim kapłanów polaków, niesłychanie duchowo przewyższa lud rosyjski, a przez te lat kilka, które przeżywa w Polsce wolnej, rzucił się z elementarną chciwością do nauki. To też niczem a niczem nie przypomina mużyka carskiego.

To jeden moment, zaiste bardzo ważny. Ale jest jeszcze drugi, bez porównania ważniejszy, a jest nim uświadomienie religijne chrześcijańskie naszego ludu. Zgadzają się na to wszyscy, że lud rosyjski dzięki potwornej niewoli ducha w jakiej był trzymany, żył poprostu w pogaństwie. Nieznajomość zasad wiary chrześcijańskiej była u niego zupełna, a całe życie religijne nie rozwijane, lecz obcinane i tłumione przez popów i rząd, porastało bujnym chwastem zabobonu. Do tego dodać trzeba, że duchowni przewodnicy ludu, sami pod względem umysłowym niewiele przewyższający przeciętnego mużyka, pod względem wartości moralnej byli często krzewicielami zgorszenia, pijaństwa i innych występków.

Jedyną siłą, która temu chłopu imponowała, jedynem można powiedzieć bóstwem, któremu był posłuszny, to był car. Gdy więc pokazano mu, że tego cara można strącić z jego niebotycznego tronu, że go można sponiewierać i nawet haniebnie zamordować, nic dziwnego, że wraz z wiarą w cara runęły tam u chłopa wszelkie podstawy społecznego ładu. A choć wkrótce poczuł, że nowi władcy nielepsi, owszem gorsi od cara, to jednak stanął wobec

nich bezradny, nie mając żadnego moralnego punktu oparcia, by im się móc przeciwstawić.

Jakże inaczej przedstawia się stan religijny naszego ludu polskiego! Od tylu wieków z niesłychanem zaparciem i poświęceniem pracuje nad nim tysiące i tysiące kapłanów, stojących wogóle na wysokim stopniu kulturalnym i naukowym, nadto całe zastępy osób zakonnych obojga płci, również odznaczające się wzniosłym nastrojem moralnym i wykształceniem. A pracują oni nietylko zdala od życia codziennego ludu, z ambon i konfesjonałów lub z poza murów klasztornych, ale wchodzą bezpośrednio w jego troski i trudności, wdzierają się w samo serce i umysły ludu. A lud ten to serce i umysł chętnie przed nimi otwiera, bo przeczuwa i wie, że przychodzą oni jak dobrzy pasterze w imię Boga i Jego Syna Chrystusa, a przychodzą wiedzeni tylko chęcią dobra tego ludu. I ileż tam pod tą grubą nieraz napozór powłoką naszego ludu prawdziwej, najszlachetniejszej, chrześcijańskiej kultury, ile poczucia odpowiedzialności przed Bogiem i społeczeństwem za swe postępowanie, jak tam głębokie uświadomienie religijne i społeczne! Przecież wszyscy, znający stosunki zaborcze, doskonale wiedzą, że tylko tej głębokiej a uświadomionej religijności zawdzięcza Polska, że miljony ludu kuszone wszystkiemi środkami do odstępstwa od narodu, zachowało się polakami aż do chwili oswobodzenia Polski.

Prawda, że dziś z wielu stron, zwłaszcza od miast, złe ku temu ludowi płynie, że idą ku niemu zgubne, zatrute powiewy niewiary i buntu i dzikiej głupoty, niedorzecznych teoryj, podniecających najniższe instynkty, dających obietnice złudne, których nikt wykonać nie zdoła. Prawda, że te powiewy i idące za niemi gazety i broszury a nawet nauczyciele lud bałamucą i odrywają od jedności z duchowieństwem i z biskupami, jedynie prawdziwymi ojcami narodu. Prawda niestety i to, że w niektórych okolicach lub u niektórych jednostek zatrute słowo, mówione czy drukowane, kiełkuje i wydaje osty i brzydkie zielska. Ale i to prawda, że te naleciałości obojętności w wierze często płytkie, pozorne i chwilowe, i kiedy przyszłoby rzeczywiście do rozprawy o religję i o Kościół, wielu z obecnie nieprzychylnych katolicyzmowi wśród ludu stanie twardo przy biskupach i kapłanach, i bezwarunkowo nie dopuści, by nad krajem zapanowały takie piekielne władze i rządy, jakie widzimy u bolszewików.

A i nasz lud miejski roboczy o całe niebo wyżej stoi od robotników rosyjskich. Szerzy się co prawda wśród naszych warstw robotniczych socjalizm, szerzy się nawet komunizm i idąca za niemi nienawiść do Kościoła, religji i kapłanów. Ale przecież nie u ogółu klasy pracującej, bo napotkać można wśród naszych robotników a tembardziej wśród pełnych poczucia swej godności rzemieślników wiele prawdziwej, głębokiej wiary i przywiązania do Kościoła.

Gdy w czasie wielkopostnym po wszystkich prawie kościołach miast i miasteczek naszych dawali kapłani rekolekcje, jakież to tłumy napełniały te kościoły, słuchając chciwie każdego słowa kaznodzieji, jeżeli nie tłumy robotników i robotnic naszych! A słuchali nie napróżno, bo gdy przy końcu nauk rekolekcyjnych zasiedli kapłani do konfesjonałów, to do późna w noc cisnęli się koło nich penitenci, a gdy na drugi dzień kończono rekolekcje Komunją św. generalną, to nie rzadko po kilka tysięcy ludzi przystępowało do Stołu Pańskiego z żalem i skruchą i z głęboką wiarą. I ten Zbawiciel miłością nieskończoną obejmował na nowo zbłąkane serca w swą władzę i karmił zgłodniałe, zwiedzione dusze Krwią Swą Przenajświętszą i Ciałem Swem Boskiem. A pokarm to silny, pokarm to mocnych, dający wielkie wewnętrzne światło i uszlachetniający człowieka niezmiernie. I ten robotnik miałby za parę miesięcy potem iść z owymi najgorszymi zbrodniarzami i potworami, jakich nie zna historja świata, z bolszewikami! Pocóż nawet mówić o tem, takie obawy szerzyć i im to podsuwać i już naprzód ich we własnem sumieniu usprawiedliwiać! Prawda, chodził dawniej i robotnik rosyjski do cerkwi, ale czemże jest mechaniczne jego tam nabożeństwo wobec uświadomionego, pełnego najszlachetniejszych dążeń i pragnień udziału naszego robotnika w obrzędach i sakramentach Kościoła katolickiego.

A teraz inteligencja rosyjska a nasza. Niemało u naszej inteligencji co prawda złego, dużo nieraz zepsucia, jest ona nierzadko lekkomyślna, zmaterjalizowana, a przedewszystkiem brak u niej inteligecji prawdziwej, kultury ducha jedynie wartościowej, bo opartej na łączności człowieka z Stwórcą nieskończenie mądrym i świętym. I nieraz się też zdarza, że służąca, która chodzi stale do kościoła i słucha tam rozmaitych nauk i kazań, czyta dobre, pobożne książki, przewyższa naprawdę inteligencją swoją panią, która tylko przejrzy co najwyżej gazetę lub nowelki, kazań nie słucha nigdy, prawd wiary zu-

pełnie nie zna, a chodzi tylko po wizytach, kawiarniach lub teatrach i kinach. Ale i ta liberalna inteligencja nasza nie jest w gruncie tak zła i zepsuta, jaką była inteligencja rosyjska, strupieszała aż do rdzenia. A nadto u nas poza tą warstwą liberalną, obojętną w rzeczach wiary i sprzyjającą socjalizmowi, jakże wiele jest rodzin i osób nawskroś religijnych, patrjotycznych, dochodzących w swej gorliwości do heroicznej nieraz ofiarności dla Boga i Jego sprawy i gotowych każdej chwili na męczeństwo! Patrzmy na te setki klasztorów, te tysiące i tysiące kościołów, setki i tysiące rozmaitych przytulisk, ochronek, sierocińców i innych dzieł religijnych. Któż to je utrzymuje i żywi? Prawie wyłącznie lud i ta bardzo już zubożała nasza inteligencja, bo przecież wielkie kapitały są u nas prawie całkiem w rękach innowierców.

Tego praktykującego, religijnie uświadomionego ludu i inteligencji u nas to nie jakaś tylko część społeczeństwa, ale to prawie że ogół. Powiedzieć, iż wśród katolików w Polsce jest katolików tylko z imienia, niepraktykujących zupełnie, dwa miljony, byłoby już może przesadą. Badając pilnie, nie znaleźlibyśmy u nas nawet dwóch miljonów katolików, którzy całkiem zerwali w życiu i w zasadach swych z religją.

A nasz episkopat, tak wzniosły swą całą działalnością, taką miłością wielką pałający i Ojczyzny i tych najdroższych owieczek, które Bóg im powierzył i wzajemnie niezmiernie czcią i miłością ich otoczony, takie wpływowe stanowisko w społeczeństwie zajmujący!

A ta łączność nasza najściślejsza, nierozerwalna, wrodzona w krew i kości nasze, z Ojcem św. Papieżem rzymskim, których ani knut moskiewski i szubienica ani przewrotność pruska nie zdołały nigdy z nas wydrzeć i która nam wyjednała ową najwyższą pochwałę: Polonia semper fidelis.

Czyż można wobec tego wszystkiego porównywać Polskę z Rosją!

Nie, nie i jeszcze raz nie. Mogą tu i owdzie wybuchać rozruchy, wzniecane wśród motłochu przez niecną agitację, mogą żywioły radykalne wziąć miejscowo przewagę, ale o bolszewji u nas obecnie mowy być nie może. Chyba, gdybyśmy sami tego chcieli, gdybyśmy ślepi na nędzę i zgorszenie, trwali w nieczynności i wzajemnem oskarżaniem się i lżeniem pogarszali zamęt i obezwładniali swe siły. Trzeba powiedzieć sobie otwarcie, że czasy, które

obecnie przeżywamy, są ciężkie, niebezpieczeństwa grożą nam liczne, i trzeba teraz wielkiego wysiłku i zbiorowego i osobistego, a każdy na swem stanowisku winien robić, co tylko może. Ale nie wolno tracić ducha, nie wolno oddawać się jakiemuś fatalizmowi i myślom, że musimy zginąć, że lepiej poddać się i ustąpić steru odrazu, bo wtedy źli ludzie, choćby ich była garść tylko, rozzuchwaleni naszą słabością, skorzystają z odrętwienia i uchwycą władzę w swe ręce. A piekielnicy tacy przez krótki czas więcej mogą zburzyć, niż potem naród, o ile wogóle zdołałby się podźwignąć, przez wieki może będzie umiał odbudować. Pamiętać należy, że kto skacze w taką przepaść, nie wie, jak daleko się potoczy, nie wie, jak dno głęboko!

Walczmy więc dzielnie i z najwyższym wysiłkiem, i świadomie, a pamiętajmy przytem jednak, że ponieważ tu chodzi równocześnie o najświętsze prawa Boga i Jego Kościoła, więc On będzie z nami. Choć nam będzie ciężko, przestańmy pomstować na Polskę i rząd, czyniąc go odpowiedzialnym za winy nasze, owszem, obowiązkiem nas gorliwych katolików jest uspokajać, podnosić na duchu a zachęcać słowem i przykładem do ofiar i do cierpliwości i należnego poszanowania władzy.

Z gorącą modlitwą na ustach, z wielką wiarą i miłością ku Chrystusowi i Kościołowi i naszej najdroższej Ojczyźnie i Matce Polski, pod sztandarem naszej Królowej Korony Polskiej — naprzód ochoczo i z ufnością.

A wtedy Bóg niechybnie da nam zwycięstwo!

—o—

POGLĄDY NORWESKICH PROTESTANTÓW, DOTYCZĄCE ROKU JUBILEUSZOWEGO.

Artykuł w Kristelig Ugeblad jest ciekawym dowodem zazdrości, z jaką odnoszą się protestanci do jedności katolickiej. Powinno się czegoś dokonać — mówi ten dziennik — coś zrobić, by zgrupować, odnowić, i wzmocnić chrześcijanizm ewangeliczny. My także potrzebujemy roku świętego.

Ten święty rok kościoła katolickiego nie jest kaprysem. Kościół jest mądry i mądrze rządzony. Zresztą zwyczaj ten ma pewną podstawę w Biblji. Dawni Izraelici mieli wiele instytucyj dobrych, zdrowych i mądrych, i zdrowy układ społeczny z wielu punktów widzenia. Przeczytajcie książkę pastora Funtervolda: „Jego droga biblijna do sprawiedliwości społecznej". Izraelici mieli swój rok sabatu i rok jubileuszu. To wskazuje na tradycję,

na przykład jubileuszu rzymskiego, opartego na Biblji. Z drugiej strony ten rok święty ma ogrome znaczenie dla Kościoła rzymskiego, a sprawa dochodów odgrywa tu rolę podrzędną, w każdym razie za naszych czasów. My protestanci, jesteśmy skłonni wierzyć, że sprawa pieniężna jest związana z Rokiem Świętym. Naturalnie, — przynosi on dochody, co nie jest do pogardzenia, powtarzam jednak, że jest to kwestja podrzędna. Ze strony Kurji ułatwia się pieniężnie wedle możności pielgrzymom pobyt w Rzymie, świętem mieście katolików, aby tylko mogli napływać w największych ilościach. Większość pielgrzymów — to ludzie skromnie uposażeni, którzy niewiele pieniędzy zostawiają w Rzymie.

My protestanci, jesteśmy także bardzo skłonni mniemać, że kwestja odpustów gra w Roku Świętym rolę przeważającą. Odpust jest to darowanie pokuty za pewien określony czas. Instytucja spowiedzi i pokuty jest ośrodkiem życia chrześcijańskiego. Instytucje te naznaczają pewne pokuty i kary. Jest rzeczą pewną, że odpusty pozostają w ścisłej łączności z Rokiem Jubileuszowym. Przyciągają one przedewszystkiem pielgrzymów do Rzymu, ponieważ odpusty mogą być łatwo, choć mylnie pojęte jako odpuszczenie grzechów. Ale i odpusty te mają znaczenie podrzędne. Nie! Rok Jubileuszowy, rok święty, — to odnowa i odmłodzenie Kościoła rzymskiego. Ma on specjalnie doniosłe znaczenie dla jedności tego kościoła, który się odmładza i umacnia przez Rok święty. Z wszystkich katolickich krajów przybywają w tym roku do Rzymu setki tysięcy pielgrzymów. Napływają w grupach po 50, 100, 200, 400 osób, pod kierownictwem swych pasterzy, biskupów, zakonników, a przez to samo ludzie ci są już ożywieni dobremi dążnościami. Przybywają, zgrupowani pod krzyżami i chorągwiami, z pielgrzymią odznaką, przypiętą do sukien i okryć — przybywają ożywieni pobożnem oczekiwaniem, świętym zapałem. Naogół Rzym nie przynosi im rozczarowania. Należy pamiętać, że większość pielgrzymów — to ludzie bezkrytyczni, drobnomieszczanie, chłopi, robotnicy. Większość ich jeden jedyny raz w życiu przybywa do Rzymu, do którego już nigdy nie wrócą. Wydaje im się, że są świadkami rzeczy przedziwnych — przepełnia ich odczucie piękna, Rzymu, kościołów, kapłanów, nabożeństw i t. d. Wszystko to oddziałuje silnie na umysły prostych ludzi, a odpowiada nadewszystko temperamentom południowców i rasie romańskiej. Te setki tysięcy pielgrzymów unoszą ze sobą wielkie wrażenie potęgi kościoła rzymskiego, jego jedności, wielkości i piękna. Pobyt w Rzymie jest niezapomnianą uroczystością; spotyka się tu współwyznawców ze wszystkich krajów. „Czyż może być coś dostojniejszego i piękniejszego nad nasz Kościół rzymski?". Tak to oni myślą. Takich dostają wrażeń i spędzają resztę życia pod ich wpływem. Po powrocie opowiadają zasłuchanym przyjaciołom o tem, co widzieli w Rzymie, w siedmiu bazylikach, w katakumbach. Opowiadają o mszach papieskich, audjencjach u Ojca Świętego i t. d. W ten sposób można zrozumieć, dlaczego Rok Święty staje się świętem spotkaniem, które odnawia, odmładza, łączy i entuzjazmuje. To rzecz główna. Ach, tak! Kościół rzymski jest do dziś dnia wielką i silną jednością, a dziś może jest bardziej niż kiedykolwiek jednolity, skonsolidowany i silny jednością, niezależny ani od lewicy, ani od prawicy. Nie jesteśmy jednak zaślepieni i widzimy do-

kładnie, że jedność swą zawdzięcza on jedności kierownictwa. Środki używane do utrzymania tej jedności i łączności nie są może zawsze duchowej natury — niemniej jedność ta imponuje.

—o—

SZKICE Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO: ŻYCIE WEWNĘTRZNE KARDYNAŁA MERCIER.

Te wiersze, które tu skreśliliśmy, nie mają pretensji, aby dokładny dać obraz psychologji tego wielkiego i świętego Kardynała, są one skromnym do niej dodatkiem. Dla historyka opisującego jego życie, mogą niejedno wyjaśnić. A opis ten, o który opinja upomina się, już nie może być długo zwlekany — i musi wykazać ogólne natchnienie, którem się kierował znakomity zmarły w swojej nadzwyczajnej czynności.

Gdybyśmy szukali pobudki głównej tego życia, a mówiąc dokładniej siły tajemnej, ożywiającej go, to znaleźlibyśmy ją, zdaje mi się w miłości synowskiej do Ojca niebieskiego, przelewającej się jako miłość apostolska na bliźniego. On sam nam to dyskretnie wyjawił w swej podziwu godnej odpowiedzi na przemówienie ministra Cooreman'a, prezydenta funduszu im. Mercier, na zebraniu ogólnem jubileuszowem w 1924 r. Tę miłość synowską do Boga, wyssał on, że się tak śmiem wyrazić — razem z mlekiem tej niezrównanej matki, którą była „śmięta Pani Barbara" — jak ją nazywano w Braine l'Alleud, i której Kardynał zawdzięczał, jak mówił — wszystko co było w nim dobrego. W sercu też tej matki wyczytał owocodajną naukę zapomnienia o sobie i bezinteresownej miłości, która objawia się w całkowitem oddaniu się dzieciom jednego Ojca niebieskiego — naszym bliźnim.

Te pierwsze skłonności, dzięki specjalnej łasce, rozstrzygnęły o kierunku całego jego życia. Nie przestały się one utwierdzać i rozwijać, i zwiększały się rozmyślaniami nad widokami natury otaczającej go — a w której objawiał mu się Bóg dobroczynny dla wszystkich — czytanie zaś dzieł natchnionych, nadewszystko Ewangelji, wzmocniło jeszcze i utrwaliło te skłonności. Później listy św. Pawła stały mu się tak blizkie, miał tak wielkie zadowolenie tłumacząc je, wyciągając wszystkie z nich soki — że zamienił je niejako w swoją własną substancję, w swoje ciało i krew.

U boku swej matki znalazł też drugi wpływ rodzinny, który rozniecił w nim płomień miłości heroicznej dla dusz. Był to czcigodny Mgr. Andrzej Józef Cloquet, brat matki, „święty z Oregonu," jak go ochrzcili krajowcy — i za którego przykładem byłby poszedł apostołować — gdyby nie zrządzenie Opatrzności, która go dla innych widoków przeznaczyła. Brat przyrodni jego matki, ks. Charlier, dziekan w Virginal, nie omieszkał także stawiać przed oczyma młodego człowieka piękna życia poświęconego Bogu i bliźnim.

Wiemy od pewnego czcigodnego duchownego, zamieszkałego w Brukseli, który często podczas wakacyj spotykał młodego Mercier w Virginal,

że był on bardzo pobożny i miał zamiłowanie do gier umysłowych, jak np. szarady. To go rzeczywiście charakteryzuje; jego pobożność prawdziwa, czuła i silna nie absorbowała go w dzikiej kontemplacji, lecz promieniowała na wszystkie jego zajęcia. Idealista i realista równocześnie, łączy on zawsze kontemplację z czynem. Tak samo namiętność do wiedzy, którą miał od młodości, i która rozpalała jego młody umysł żywą ciekawością, stała się u niego narzędziem apostolstwa. Nauka stała się natychmiast dla niego środkiem miłości, pragnął być uczonym, by być wpływowym, — pragnął być wpływowym, by zwyciężać dusze. Wzrastać ciągle w miłości, dążyć do Boga, Ojca ukochanego, aby drugich za sobą pociągnąć, oto jego nieustający ideał, jego ciągłe dążenia.

Próżną jest w jego oczach nauka, „która nie obraca się w miłość" i myśl ta tak w nim góruje, że służy mu później za normę sądu o wielkich ludziach i za środek oceniania ich prawdziwej miary.

Z tego też punktu widzenia są pochwały, które napisał o Bossuecie w Meaux, o Dantem w akademji belgijskiej i o św. Hieronimie w Rzymie; i hołd, który składa tak mówcy francuskiemu, jak poecie florenckiemu i egzegecie palestyńskiemu, jest hołdem zachwytu, iż się objawili w jego oczach jako „ludzie czynu".

Przejąć się miłością boską i dać coś z siebie drugim, było jego gorącem zamiłowaniem, było gwiazdą przewodnią jego życia. Opatrzność, która go z daleka przygotowywała do episkopatu, zastosowała te zasadnicze uzdolnienia jego natury do uczniów świętego przybytku. Słyszałem jak przyznawał się prywatnie, a mówił to także i publicznie, że ma szczególną skłonność i jakby powołanie do kształtowania sług bożych, do pielęgnowania tej wybranej cząstki Kościoła.

Przekonano się o tem, gdy został powołany na kierownika duchownego w seminarjum w Malines, i nikt z tych, którzy przeszli przez jego ręce, nie mógł wymazać z pamięci swego serca tego nadzwyczajnego wychowawcy alumnów. Mało jest już żyjących, ale ci zachowali dla jego pracy głębokiej, razem z kilkoma kartkami zżółkłemi przez czas, gdzie zapisywali notatki, jak się mają kierować — niezapomnianą wdzięczność serc. A to przywiązanie, które dla niego zachowali! Jeden z nich, dowiedziawszy się o jego śmierci w sobotę 23, w godzinę potem, chociaż był już czcigodnym kapłanem, rozpłakał się jak dziecko po stracie nad wszystko ukochanego ojca.

Przychodzi mi jeszcze na myśl, że dystyngowany prałat kapelan na dworze królewskim, obdarzony nadto na łożu boleści nową godnością, świadczył przedemną o tym wpływie nadzwyczajnym, który młody ksiądz Mercier wywierał na seminarzystów. Miał ks. Mercier swoisty sposób „urzeczywistniania" Ewangelji, wywoływania Pana naszego, ożywiania Go i ukazywania niejako przed swymi młodymi słuchaczami, co ich przenikało wiarą, odrywało od siebie samych, przyodziewało w Chrystusa, według wyrażenia św. Pawła.

Takim się okazał przedewszystkiem w Louvain, w seminarjum Leona XIII, z którego uczynił wieczernik apostołów. Tam to wybuchł u niego z całą siłą ten związek namiętności naukowej z namiętnością duchową.

Tam to zagrzewał młodych ludzi do miłości nauki i do miłości Chrystusa. Poprzez wszystkie trudności, które napotkał w swojej, poruczonej mu przez Papieża misji odnowienia tomizmu, a którą zwalczali prawie wszyscy, w łonie samem prześladowań, któremi go obrzucano i które Opatrzność pomściła, przyprowadzając go jako arcybiskupa do łoża dawnego rektora, jego zawziętego przeciwnika, — Mgr. Mercier nigdy nie przestał zważać na kulturę dusz, której nie mógł odłączyć w swojej myśli od kultury filozoficznej.

Oddał się on całą duszą temu dziełu wychowania kleryków, które tak odpowiadało jego dążnościom początkowym i głębokiej gorliwości kapłańskiej, nadał mu piętno swoje osobiste nie marzył o tem nigdy by je porzucić, lecz gdy Bóg go wyrwał z tego świętego miejsca, nauczyciela otoczonego gorącem przywiązaniem uczniów, mógł on im powiedzieć z całą szczerością: „Jeżeli ten urząd, do którego mnie powołano musi mnie koniecznie odłączyć od was, którzy jesteście moją rodziną — serce moje zostanie z wami“.

Oddawano mu gorąco także swe serca. Gdy 29 września 1924 dawnych uczniów z seminarjum Leona XIII zwołano do Malines, aby kardynałowi Mercier jako Jubilatowi hołd złożyć, „senior“ z grupy pierwotnej z r. 1892, najstarszy z siedmiu wiekiem, ksiądz dziekan z Menin, kanonik Huys, zachwycił serce Jego Eminencji, przypominając piękne lata w Louvain. Z jego przemówienia podaję następujący, pełen znaczenia wyjątek. „Przez twe Eminencjo słowa porywające i tak przekonywające, a jeszcze bardziej przez wzniosły przykład twego życia tak świętego, udzieliłeś nam wraz z namiętną miłością nauki i pracy, szlachetniejszą jeszcze namiętną miłość świętości, rozbudzając w naszych młodych sercach wspaniałą i prawą ambicję, by zostać kiedyś czemś, coś zdziałać, by, jak nam sam wówczas mówiłeś, każdy z nas wyżłobił sobie swą własną bruzdę w życiu“. Ten wielki wychowawca kształtował swych uczniów na swoje podobieństwo.

Historykowi Kardynała łatwo będzie wykazać z jaką pełnią gorliwości biskup troszczył się o cały swój kler. Zdaje mi się, że najpiękniejszym kwiatem w jego koronie, jego największą zasługą przed Bogiem, nie będzie wskrzeszenie idei tomistycznej, która leżała w prochach bibljotek, przez wprowadzenie jej w łączność ze wszystkiemi nowemi naukami. Lecz główną jego zasługą jest obudzenie w duszach kapłańskich namiętnej miłości do świętości, podniesienie poziomu duchowego kleru, przywrócenie do czci cnót, które są jego ozdobą i nadanie mu silnego pulsu we wszystkich kierunkach gorliwości apostolskiej.

Czytelników uderzyć musi oryginalność jego ascezy, która uwidacznia się w jego arcydziele: „Do moich seminarzystów“ i w drugiem dziele, niestety niedokończonem: „Życie wewnętrzne“.

Na nowo opracował Kardynał tradycjonalną naukę o modlitwie, nadał swoje piętno pobożności, i zajmie miejsce pomiędzy takimi ascetami współczesnymi jak Faber, de Gay .. Zresztą indywidualność jego zaznacza się silnie w jego dziełach i staje przed światem w blasku i uroku. Ciekawe można sobie zadać pytanie jak to „ja“ tak energiczne, tak pełne żywotności, o tak wybitnym rysunku, harmonizowało z jego zadziwiającą prostotą

i głęboką pokorą. Odpowiedź będzie zawsze jednakowa: całe to ja wznosiło się do Boga przez miłość, zmierzało tylko do Boga, nie miało innej ambicji prócz Boga, oddawało się tylko dla służenia Mu i na Jego chwałę. Ze wszystkich wspaniałych manifestacyj, z powodu jego jubileuszu, które przyjął z całą prostotą i bez zastrzeżeń, uczynił wiązankę olśniewającą, którą ofiarował Bogu.

Zapytałem się go pewnego dnia, ze swobodą, do której dawał mi upoważnienie, jak mógł się oprzeć zawrotowi sławy, której był przedmiotem w szalonych owacjach w swym triumfalnym pochodzie przez Amerykę. Odpowiedział mi, że całe to rozpętanie entuzjazmu nie upoiło go ani na sekundę, gdyż on wie bardzo dobrze, że jest to gloryfikacja religji, kościoła i Boga, ku któremu, przez jego osobę szło uwielbienie narodów i królów.

Jednemu przyjacielowi, który również dziwił się jego pogodzie w dniach triumfu, odpowiedział, że lubi przeciwstawiać wszystkim tym wybuchom popularności „myśl o trumnie w której jednego dnia będzie leżał i gdzie wszelka sława zginie“.

Wielka postać współczesnego świętego, tak doskonale ludzka i tak szlachetnie nadnaturalna! Żywot harmonijny i podziwienia godne powołanie, gdzie wszystkie przeciwieństwa zlewają się w wyższą jedność, mianowicie miłość synowską Ojca Niebieskiego i miłość braterską bliźniego.

Tych słów kilka, ten szkic nieudolny tylko zdołaliśmy podać teraz; powinno się jednak do niego powrócić swobodnie i rozmyślać nad tą wielką duszą pełną światła i siły, nad tem sercem przepełnionem miłością.

La Revue Catholique des Idees. *Ks. J. Schyrgens.*

—o—

SOBÓR W MOSKWIE.

(Dokończenie).

Dzień soboru, czwartek 8 października, poświęcono sprawom karności kościelnej. Mnóstwo delegatów przemawia za lub przeciw ostrzejszemu stosowaniu kanonów. Różnorodność ich typów interesuje mnie na równi z różnorodnością ich poglądów. Zebrania duchowieństwa prawosławnego jest zawsze stałą wystawą męskich fryzur, bogactwo ich i rozmaitość zdumiewa każdego człowieka z Zachodu. Zapewne biskupom i kapłanom tej hierachji wolno wedle upodobania obcinać brodę i włosy. Większość, jako ściśli nazaretańczycy, wolą je zachować nietknięte: do rzadkości należą ci, którym tychoniści mogliby zarzucić „pomniejszanie dzieła bożego na głowach i obliczach“. Na ośmdziesięciu trzech obecnych biskupów, dwóch tylko goli brodę, kilku innych przycina ją mniej lub więcej, przystosowując wąsy, bokobrody, brodę do upodobań zupełnie świeckich. Większość, ci zwłaszcza, których brody przypominają kość słoniową lub heban, pozwalają im rozpościerać się w całej okazałości. Ta sama rozmaitość i te same stosunki panują wśród dwóchset księży: blondyni i ru-

dzi uwalniają się łatwiej, jeżeli nie od soboru in trullo, który tradycja bizantyńska z uporem i wbrew wszelkiej oczywistości przedstawia jako szósty sobór powszechny — to przynajmniej od jego kanonu 96.

Czupryny są poprostu niezrównane. Są i takie, które spływają prosto, gładko aż poza pas, do kolan, białe, czarne, jasne, siwiejące Inne przybierają w sposób naturalny, lub przy pomocy umiejętnych zabiegów — najdziwaczniejsze wyglądy. Włosy dochodzące do metrowej długości są tak pozwijane w pierścienie, ufarbowane, falowane, zwinięte, pieczone, podniesione, że nie dotykają nawet wprost ramion: żadna peruka z wielkiego wieku nie może iść w porównanie z temi ogromnemi koliskami, w pośród których rysują się twarze, częstokroć drobne, ascetyczne, wydłużone jeszcze przez niekończącą się, spiczastą brodę, to znów promieniejącą jak słońce, pod grzywą ze złota. Ja nie daję ponosić się wyobraźni, raczej nie wiem w jaki sposób opisać to, co napełniało mnie w ciągu tych dni zdumieniem, to co widzę na fotografji... W czasie posiedzeń wszystkie głowy są odkryte, mogę więc je podziwiać do woli. Wśród tychonistów podobno spotyka się okazy jeszcze bardziej „godne podziwu". Przy wyjściu i na ulicach wieńczą oni te fryzury najrozmaitszemi przykryciami głowy: miękkiemi kapeluszami, melonikami wszelkich kolorów, cylindrami, czapkami, najczęściej jednak welonem mnichów, z wysokim kalilmarokion.

Ta walcowata rura bez brzegów, jest zazwyczaj czarna; biskupi zdobią ją na górnym skraju krzyżem z małych kamyków. Rura metropolitów jest biała. Zapożyczyli oni, jak mi tu powiedział jeden z nich, barwę od papieża wskutek tradycji, przyniesionej z Niżniego Nowogrodu. W Paryżu wziętoby wielu z tych duchownych za oficerów kozackich z powodu wysokich butów, koniecznych na ulicach Moskwy, a więcej jeszcze na wiejskich drogach, i z powodu sutann, czarnych, białych, rezedowych, pomarańczowych, granatowych i szarych. Całość jednak zachowuje wygląd kapłański.

Sprawy dyscypliny odnośnie do tych fryzur i bród są dla tej hierarchji już roztrzygnięte. Przyznaje ona swobodę, posługuje się nowym kalendarzem, dozwala, że w pewnych wypadkach owdowiały ksiądz może się ożenić powtórnie i że żonaty kapłan może otrzymać święcenia biskupie. Dzisiaj stawia się sprawy bardziej ogólne: czy sobór zachowując zasadę tej wolności pozostawi każdemu prawo korzystania z niej wedle woli? Sprawozdawca sformułował ściśle prawa i obowiązki tyczące się biskupów, kapłanów i świeckich zgromadzonych: w ten sposób — twierdzi on — całe ciało kościelne będzie mogło zachować się i poruszać harmonijnie. Jeżeli laicy zachowają inicjatywę i kontrolę, to postanowienia nie będą mogły zapadać bez zgody duchowieństwa i bez zgody biskupa. Biskup, o ile wejdzie w zatarg z kapłanami lub wiernymi, podlega sądowi rady metropolitarjalnej, a w ostatniej instancji świętemu synodowi, gdzie księża i laicy mają swoich przedstawicieli. Wkońcu postanowienie synodu może być zmienione przez sobór, zwoływany w stałych odstępach czasu.

Jakież będą te odstępy? Jedni proponują, by sobór odbywał się co rok, lub co dwa lata, inni by zwoływać go co pięć lat. Uwzględniwszy koszta podróży i pobytu, wszyscy zgadzają się, tak jak w roku 1918, na ustalenie, że sobór narodowy będzie się zbierał co trzy lata. Wznowi on za każ-

dym razem synod nieustający, który jest zwykłym kierownikiem prawosławia narodowego. Wybierze on prócz tego inne ciało liczniejsze, które będzie się zbierać dwa razy na rok, aby sprawdzić działalność świętego synodu, a które będzie nosiło nazwę biura lub komisji soboru.

Jeden z biskupów zapytywał, czy należy myśleć tyle o dyscyplinie: Czyż Ewangelja, Listy, Akta Apostołów nie dość jasno określają czem winny być stosunki między wiernymi, a pasterzami? Nie, odpowiadają niemal wszyscy inni mówcy, z których każdy rozporządza pięcioma minutami czasu: święte księgi określają ideał życia chrześcijańskiego, ducha, który winien rozwijać się w Kościele, ale ojcowie uznali konieczność ujęcia praktyki w prawidła i kanony, które wolno przystosowywać, lecz których nie wolno usuwać w całości. Pewien kapłan, którego bolesny wygląd wywołuje natychmiast w mej pamięci obraz Jeremiasza z kaplicy Syxtyńskiej, oświadcza uroczyście: „Jeżeli nie będziemy zachowywać karności, — ojcowskiej zapewne lecz silnej — popadniemy w anarchję. Kościół jest ciałem, podległem prawom własnego życia: jeżeli jakikolwiek członek je naruszy, — to tem samem postawi w niebezpieczeństwie życia całe ciało. Nie anarchja, lecz karność kanoniczna". Słowo to teraz będzie przechodzić z ust do ust, ale z rozmaitemi odmianami. Arcybiskup Ignacy z Tweru, który wie zapewne, że jego włosy i broda są najwspanialsze z pośród całego zgromadzenia, wyrzuca tychonistom sprzeniewierzenia się dyscyplinie: pogwałcili oni własne kanony z r. 1917, które podporządkowywały patrjarchat soborowi; mogli oni byli wtrącić w anarchję całe prawosławie rosyjskie. Pewien świecki delegat z Kubanu zapytuje, czy dysyplina sakramentalna nie wystarcza: „Nie możemy rodzić się, ani umierać, ni żyć bez kapłana: potrzeba nam księdza do wejścia w związek małżeński. Ksiądz nie może nam udzielać Komunji św., o ile nie był naznaczony przez biskupa. Ta dyscyplina jest nam potrzebna; czyż jeszcze jakaś inna jest konieczna"? — „Tak — odpowiada świecki delegat z Georgji, który przed rozpoczęciem mowy czyni pobożnie i wolno znak krzyża. Trzeba czegoś więcej niż dyscypliny sakramentalnej, ponieważ my wymagamy od kapłanów, aby nas kształcili w życiu wewnętrznem, a na to, by nas nauczać, sami muszą praktykować je, naśladować cnoty Chrystusa, Jego posłuszeństwo, Jego pokorę, Jego miłość, dochodzącą do całkowitej samoofiary. Chrystus bowiem jest drogą wiodącą do świętości: nauczcie nas Go naśladować. — „Tak, nalega pewien biskup, „nie należy zapatrywać się na dyscyplinę, jako na łańcuch, powstrzymujący pochód ku postępowi. Chrystus jest drogą, a jeżeli wzywa nas do pójścia za Nim, do naśladowania Go, — to nie przez to staniemy się Mu podobnymi, gdy utkwimy w nieruchomości; On nas wyprzedza, my z kolei musimy iść za Nim".

— „Ale dokąd ta droga nas zaprowadzi, — zapytuje archirej Popow, profesor w Woronežu. Cesarski wysiłek polegał zawsze na tem, by prowadzić kościół rosyjski przez via media, któraby nie była ni katolicyzmem, ni luteranizmem. Myśl religijna nie powinna zatrzymywać się u tych nagabywanych granic. Szuka ona prawdziwej drogi Kościoła, tej, która otwarła się za czasów apostołów i która w duchu prawowierności dogmatycznej pozostaje wierna Chrystusowi pokornemu i Odkupicielowi. Trzeba więc, aby dyscyplina kościelna sprzyjała wzrostowi pobożności i ascetyzmu, wszędzie, a przedewszystkiem w życiu rodzinnem. Przykład tego ascetyzmu winien wychodzić, promieniować szczególnie z rodziny kapłana. Jeżeli jego własne dzieci poznają lepiej Chrystusa,

jeżeli on nauczy ich przez życie osobiste naśladować Chrystusa, jeżeli on żyje i sprawi, że one będą żyły według ducha Chrystusowego, to cała parafja odczuje tego skutki".

„Mało nas obchodzi, — dodaje jeden laik, — czy ksiądz jest żonaty, czy nie, czy ma włosy długie, czy krótkie, czy jego ubranie i kapelusz tak wygląda, czy inaczej. My żądamy od niego, aby był równocześnie księdzem i człowiekiem współczesnym, aby dawał ludziom, którzy muszą być współcześni, przykład życia całkowicie poświęconego Chrystusowi".

Wówczas, po raz pierwszy w mej obecności, prosi o głos jedna z delegatek. To siostra Smirnowa, wybrana przez diecezję z Niżnego Nowogrodu. W czarnej sukni, jak Urszulanka, w skórzanym pasku i białym welonie, ta zakonniczka całkiem drobna, nie wyglądająca na lat dwadzieścia przemawia z prostotą:

„Musimy wszyscy przyczynić się do tego, by ocalić w naszym ludzie wiarę chrześcijańską. Niedowiarstwo, ateizm, niemoralność, oddają się zaciekłej propagandzie. Obowiązkiem naszym jest z nią walczyć, jakieby nie wynikało dla każdego z nas niebezpieczeństwo z tej walki. Konstytucja oświadcza, że propaganda religijna jest wolna, zarówno jak propaganda bezreligijności. Sobór korzysta z tej wolności i poleca korzystanie z niej. Korzystajmy z niej także w kierunku modlitwy. Niech kapłani mi wybaczą, jeżeli im powiem z szacunkiem życzenie ludu rosyjskiego: on prosi ich o odprawianie liturgji w sposób świątobliwy. Niech ich zachowanie się, niech ich postawa celebransów świadczą o ich miłości dla Jezusa Chrystusa, wówczas natchną one obecnych tą samą miłością. Zatem — jeżeli kochamy Jezusa Chrystusa, będziemy kochać naszych braci, a miłość braterska chrześcijan miedzy sobą i względem innych odnowi życie chrześcijańskie i ocali wiarę. Niemal cała przyszłość religijna Rosji zawisła od tego pytania: jak kapłani nasi będą kochać Jezusa Chrystusa, Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego?"

Mała zakonniczka Smirnowa zstępuje z prostotą ze stopni schodów. Nikt jej nie oklaskuje, ponieważ uznano, że nie należy oklaskiwać w czasie soborów. Ale słowa jej musiały wzruszyć niejednego z tych siwych jak gołąb starców, roztargnionych niekiedy w czasie innych przemówień, którzy jednak dla niej przestrzegali milczenia.

Inni mowcy podnoszą niebezpieczeństwo propagand sekciarskich baptystów i stundzistów, czyli pietystów, po wsiach i wśród dzieci, z konsekwencjami bezreligijności, która następuje najczęściej po przejściowej egzaltacji. Ostatecznie biuro podejmuje się ułożenia prawideł karności w duchu tej zasady: nawet co do punktów nie mających żadnego znaczenia dogmatycznego, jak brody, włosy, powtórne małżeństwo owdowiałych księży, wybór żonatych biskupów, trzeba tak postępować, by nie gorszyć ludu. Wypada, aby duchowieństwo podejmowało ofary, nawet niekonieczne, jeżeli są one warunkiem zaufania ludu.

W ten sposób kończy się ten długi dzień czwartkowy 8 października, którego rozmaite przejawy notowałem na miejscu, by móc tem żywiej odmalować dzisiaj wygląd soboru.

W piątek dnia 9 października posiedzenie otwiera się o godzinie dziesiątej trzema sprawozdaniami, dotyczącemi ukształtowania ascetycznego i intelektualnego nowego duchowieństwa. Młody biskup wikarjusz (czy pomocnik) z Leningrodu, umiejący wyrażać się dość poprawnie po francusku, Mrg. Aleksander, przemawia pierwszy: mnich i profesor apologetyki w tej drugiej Akademji duchownej, która stworzyła kursy z początkiem 1925 r., kładzie nacisk na wartość życia duchowego i naukowego, które muszą mieć kapłani przyszłości, o ile chcą zachować, lub przywrócić wierze

chrześcijańskiej sfery intelektualistyczne: „Propaganda bezreligijności srożyła się w krajach zachodnich, we Francji naprzykład, gwałtowniej niż w Rosji i od znacznie dłuższego czasu. Jednak życie religijne zachowało tam swą potęgę i postępuje naprzód na uniwersytetach i wśród kół studentów wysoko wykształconych. Dlaczego? Dlatego, że biskupi i duchowieństwo pielęgnowało równocześnie pobożność i wiedzę. Wiadomo, że wiara ich skojarzyła się w najwyższym stopniu w wiedzą współczesną. Trzeba dać taki sam przykład w Rosji".

A oto przychodzi kolej na profesorów Caryna i Titlinowa z Moskwy. Ci dwaj świeccy ludzie wykładają wedle starego obyczaju rosyjskiego klerykom teologję, jak przed rewolucją. Pierwszy mówi o nauczaniu ustnem, któreby trzeba zorganizować w różnych miastach rosyjskich w celu przygotowania kapłanów, drugi o wpływie, jakiby można wywrzeć na duchowieństwo i wykształconych laików przy pomocy przeglądu teologicznego, któryby był równocześnie praktyczny i naukowy. Profesor Caryn był tak uprzejmy, że mi doręczył tekst swego sprawozdania, spisany na maszynie; nikt inny, o ile mi się zdaje, nie przygotował w ten sposób kopji tego co odczytał na posiedzeniu soboru. Nie przedstawiam mych własnych spostrzeżeń, ograniczam się tu, jak wszędzie indziej, do dokładnego skreślenia w wielkich zarysach tego, co się mówi i czyni na tym soborze.
Nie dyskutuje, nie sądzę — streszczam.

Profesor Caryn wychodzi z tego faktu, że Chrystus nakazał apostołom równocześnie chrzcić i nauczać:

„Nauczanie nie wystarcza tedy do odrodzenia dusz, trzeba im bowiem prócz tego, mistycznego działania sakramentu. Z drugiej strony, rytuał liturgiczny nie uwalnia młodzieńca od ofiarowania się Chrystusowi w hołdzie świadomym i wolnym, który jest niemożliwy bez wykształcenia: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli". Wiara nie wystarcza, jest ona wyznawana przez inteligencję, w której musi harmonizować się z innemi wiadomościami ludzkiemi.

Kościół nie może więc zadowolnić się stwierdzeniem, że wierzy i w co wierzy; musi on głosić myśl i treść prawd wiary i zbawienia, w które wierzy. Oto od czasów apostolskich Kościół zawsze uprawiał wiarę teologiczną. Do tego pozytywnego zadania przyłącza się inne niemniej ważne, apologetyczne i polemiczne. Posłannictwo powszechne, ogólne chrześcijaństwa jest zadaniem Kościoła; jego przedstawiciele muszą przekonywać nawet niewierzących, sprawić, aby rozbłysło światło Chrystusa wobec wszystkich dusz i w ten sposób oddać chwałę Chrystusowi, mocy i mądrości wiekuistej Ojca.

Ta nauka o objawieniu boskiem łączy sie z badaniem dzieła twórcy. Ojcowie Kościoła pracowali nad tem i dali możność podziwiania jej swym słuchaczom. Święci Grzegorz Teolog, Nil Sinaita, Bazyli poszukiwali w stworzeniu śladów Słowa, wiekuistej Sophia. Scholastyka — powiada on dalej — wypaczyła w dwojaki sposób pierwotną czystość tej teologji; z jednej strony sprowadzając wiedzę świecką tylko do roli służebnicy, nie zostawiając jej niezależności, z drugiej strony odrzucając metodę doświadczalną i badanie porządku jużto mistycznego, jużto fizycznego. Teologja scholastyczna, rzekomo „prawowierna", osądzała je tylko z punktu widzenia wyznaniowego, pomijając to, co one same miały wyznaniowego: pisarz starowierców Malników nie popełnia błędu, gdy nazywa dawną naszą teologję, teologją błądzącą. Zapewne, przed rewolucją kilku naszych teologów rosyjskich chciało powrócić do nauki ojców, ale przedstawiciele prawosławia oficjalnego okazali się nieufnymi, nawet wrogimi i twardo powściągali te usiłowania. Nasz współczesny ruch odrodzenia dąży do podjęcia tego wysiłku prawowiernego teologicznej wiedzy w Rosji i do tego, by przywieść z powrotem naukę do źródeł wiary, do pisma świętego i tradycji apostolskiej. To odrodzenie teologicznej wiedzy w Rosji zaczyna się w szczególnie trudnych warunkach; ale od czasów Celsusa walka z chrześcijaństwem posługuje się temi

samemi sposobami: rzekomo naukowy arsenał przeciw „mitowi“ chrześcijańskiemu bierze w niej wielki udział.

Teolog musi mieć zatem otwarte oczy na nauki przyrodnicze, tak jak na zarzuty fałszywie rozsiewane przez propagatorów bezreligijności w imię marksyzmu. Zaiste my nie możemy liczyć na okres czasu dłuższy ponad lat trzy dla nauk teologicznych: trzeba więc przewidzieć metodę przedłużenia ich, częściowo przez odpowiednie przygotowanie, częściowo przez dodatki. Zresztą wobec propagandy antyreligijnej trzeba zorganizować na wszystkich stopniach wydatne rozpowszechnianie apologetyki, trzeba a aby nigdzie, gdzie antireligijny agitator wyzywa afiszami duchowieństwo do odpowiadania na jego zarzuty, nie brakło kapłana, coby pozwoliło ogłosić się bezbożności za niezwyciężoną.

Nie wszyscy są przygotowani do tej walki. Zatem, ponieważ wyznawcy niereligijności krążą wszędzie, wezwijmy — gdy są zapowiedzeni — specjalistów w odpieraniu zarzutów, naprzykład archirejów, którzyby mogli ich zbijać. W każdym dziekanacie, a oprócz tego u biskupa, powinny się odbywać perjodyczne konferencje, przygotowywujące kapłanów do tego nowego i koniecznego zadania.

Prócz tego „biuro profesorów teologji“ przedsięwzięło pod koniec stycznia 1925, inicjatywę zorganizowania krótkotrwałych kursów teologji kolejno, w rozmaitych środowiskach: „profesorowie Ps. N. Titlinow, S.-M. Caryn, A. J. Pokrowski i J. Kołopow, urzeczywistnili próby w tym rodzaju w Rostowie nad Donem i w Krasnodarze. Wyniki były tak zadawalniające, że Święty Synod postanowił dnia 21 sierpnia zeszłego roku rozpowszechnić te instytucję“. Przygotowawcze szkoły kapłańskie będą mogły w ten sposób gromadzić uczniów już przygotowanych. Szkoła w Wołogdzie jest czynna od 1921 roku. Obecnie jest gruntownie utrwalona. Szkoła w Kursku potrzebuje bibljoteki, bez której kształcenie naukowe przyszłych kapłanów jest oczywiście niemożliwe. Diecezja orenburska uchwaliła dnia 12 sierpnia 1925 r. kontrybucję 3,000 rubli w złocie na otwarcie szkoły, podobnej. Taka sama instytucja istnieje w Ufie. Gdzieindziej, w diecezjach Uljanowskiej i Woroneskiej odkłada się urzeczywistnienie tych projektów z powodu braku środków. W końcu pierwsza promocja teologów wyjdzie za rok z Akademji w Moskwie, z Leningrodu za półtora roku. Wszędzie jednakże brak środków, profesorowie nie mogą drukować swych wykładów, uczniowie są źle pomieszczeni, a zdrowie ich jest narażone. Święty Synod postanowił więc dnia 21 sierpnia zeszłego roku zorganizować we wszystkich diecezjach, począwszy od września, miesięczną skadkę na zakłady teologiczne.

Streściłem dość obszernie ten memorjał o dużych trzynastu stronnicach, pisanych na maszynie, aby czytelnik mógł sam osądzić intelektualne problemy, które się ujawniły na tem zgromadzeniu.

Nim zamknięto to ostateczne posiedzenie, które trwało od dziesiątej do w pół do czwartej, sobór wybrał bez dyskusji, jednomyślnie dwie listy, które mu przedstawiono, tyczące się składu Świętego Synodu i Biura Soboru.

Naznaczono spotkanie na dzień następny, na godzinę pierwszą w Kremlu, w katedrze Wniebowzięcia Panny Marji (Uspieński sobór). Istotnie odprawiono tam uroczyste Te Deum dziękczynne, o drugiej godzinie po południu. Skorzystałem skwapliwie z chwili oczekiwania, by zwiedzić osobliwości Kremlu, zazwyczaj niedostępne od r. 1918. Wielu Rosjan przybyłych z najbardziej odległych prowincyj nigdy również nie weszło do tego niemal świętego miejsca. Przebiegali oni z nabożeństwem okazałą i uroczą katedrę Wniebowzięcia, zbudowaną w ciągu ostatniej ćwierci XV wieku przez Fioraventiego z Bolonji, podziwiali trony cesarskie i trony patrjarchy w nawie, oraz trony metropolitów moskiewskich w absydzie. „Cała nasza historja narodowa znajduje się tutaj“ — mówili mi ze wzruszeniem. Niektórzy dodawali z sceptycznym wyrazem twarzy, który uprzedzał oczekiwaną odpowiedź: „Czy na Zachodzie są również tak starożytne kościoły?“. Zdumienie ich było ogromne, gdy odpowiadałem spokojnie: „Tak, z pewnością.

Nie mówiąc o Rzymie z jego katakumbami, domami i kościołami św. Klemensa, św. Cecylji, św. Pryski... to w samej Francji jest dużo katedr i kościołów znacznie starszych; kilka z nich, już w epoce, gdy zaczęto stawiać ten sobór, miało jego wiek obecny, a może i więcej". Chcąc wymienić świętego, któregoby znali, poczynam mówić o grotach św. Marcina i jego uczniów w Marmontiers koło Tours. Zachwyca ich subtelność obecnych prac restauracyjnych. Żałują naturalnie tych tysiąców kilogramów złota, które obciążały ikonostas, lecz czyż on przez to był piękniejszy, że był bogatszy? Część skarbu zresztą przechowano, mogę tak przynajmniej mniemać, widząc złote kapy dźwigane przez metropolitów, którzy właśnie wchodzą. Wydaje się, że tak dalece są te kapy sztywne, iż robią wrażenie metalowych blach, ozdobionych kamieniami i diamentami. Metropolici Serafin, Benjamin, Innocenty odprawiają nabożeństwo, ubrani w błyszczące korony królewskie. Metropolita Wwiedeński też jest z nimi. Po odśpiewaniu słowiańskiego Te Deum, wypowiada on przemówienie krótkie, przenikające: Mamy służyć królestwu bożemu, pracować nad utwierdzeniem go na ziemi w każdej duszy i w społeczeństwie. Nie zrażajmy się trudnościami, owoc bowiem naszej pracy ma dojrzewać dla wieczności; triumf jego i zbawienie dusz nie będą miały końca. Trzeba, aby Chrystus królował. Ale ten Chrystus jest znakiem sprzeciwu, a sługa nie jest ponad pana: nic więc dziwnego, że i z lewicy i z prawicy znieważają nas. Przeciwnie, szczęśliwi jesteśmy, dlatego, że mówią źle o nas z powodu Jego imienia: jedni, ponieważ głosimy, że Chrystus jest królem, nieśmiertelnym carem Rosji, tak jak i wszechświata, inni, ponieważ jako biskupi i kapłani, jako chrześcijanie odmawiamy utożsamiania sprawy ludzkiej ze sprawą Chrystusa. Wystarcza nam jedyny nieśmiertelny, Król wieków i mocarstw. Będziemy się modlić, pracować, cierpieć w cierpliwości i radości, aby jeno panowanie Chrystusa wzrastało, rozszerzało się, umacniało, nad wszystkimi ludźmi, nad wszystkiemi narodami, w jedności tej samej miłości.

Natychmiast po tych słowach, dawni „psalmocziki" katedralni i diacy wieczyści zaczynają na przemiany śpiewy i czytanie psalmów. Głosy ich wyszkolone przez trzydzieści i więcej lat wprawy, są potężne. Nic z tego, co słyszałem na Zachodzie, nie może dać o tem wyobrażenia. Są to prawdziwe ryki o głębi i skali, o majestacie powolnym i przewlekłym, które wydają się niepodobne do wiary. Dosłownie siła ich targa wnętrznościami i wprawia w drżenie witraże na skrajach tumu, który się wznosi na czterdzieści dwa metry wysokości... W kilka dni później, po uroczystem nabożeństwie obrządku grecko-słowiańskiego, w którem sam papież wziął udział, odprawionem dnia 15 listopada 1925 r. na pamiątkę soboru nicejskiego, pewien rosjanin, który bardzo podziwiał tę uroczystość w kościele św. Piotra, dodał. „Spiewy mogły być wykonane w sposób tak pobożny i piękny, jak tylko można, ale dla nas rosjan brakło w nich jednego wspomnienia: ryku, ryku człowieka, potężniejszego niż głos licznych trzód, bardziej wyrazistego niż ryk morza".

Zrozumiałem tę uwagę po powrocie z Moskwy. Skończyła się ceremonja dziękczynienia. Zwiedzamy gromadnie drugą katedrę Kremlu, katedrę Archanioła. Zjawia się wówczas pewien kapłan, syn niemca protestanta

i pobożnej prawosławnej rosjanki. Język niemiecki odosabnia nas niejako od naszej grupki, kapłan przeto poczyna mówić swobodnie: „Co ksiądz myśli o nas? Zapewne znajduje, że naszym zebraniom brak majestatu? Kongres niemiecki jest bardziej uroczysty... A następnie, jesteśmy przez wielu oskarżani i znieważani. Być może, że się mylimy, ale wierzymy z całą szczerością, iż postępujemy wedle naszego sumienia, wedle obowiązku, dla dobra. Jakże możnaby ocalić wiarę chrześcijańską w duszach, młodzieży szczególnie, gdyby kościół przychodził do nich z ukrytą myślą polityczną?" Odpowiedź moja jest pełna zastrzeżeń, nie powinienem sądzić, ni brać czyjejś strony; on rozumie to i odchodzi, by następnie pobożnie wraz z innymi delegatami zwiedzać groby książąt i cesarzów, poprzedników Piotra Wielkiego; całują grób Michała (świętego), księcia Czarnigowa, umęczonego, czy rozsiekanego przez Tatarów w 1246 r. i grób carewicza Dymitra.

Po wyjściu z kościoła wszyscy podziwiają po raz ostatni ze szczytów Kremlu miasto, rzekę, dalekie pola, zwracają się ku Wielkiemu Pałacowi i wychodzą z Kremlu przez bramę Borowicką. Sobór jest skończony... Błękitnawa mgła osłania miasto, pada drobny, rzadki deszczyk, noc zapada, zaczyna się zima moskiewska. Przed przekroczeniem ufortyfikowanego muru niemal wszyscy zatrzymują się miedzy kościołem Zwiastowania Najświętszej Marji Panny, „na Murze", a dawną wieżą wodną. Podczas gdy ich spojrzenie usiłuje przebić mgłę, ja sądzę, że dusze ich pragnęłyby choć trochę odgadnąć przyszłość. Jakiem będzie religijne życie Rosji do dnia przyszłego soboru?

Tychoniści w r. 1918 postanowili zwołać sobór na rok 1921, a w 1926 oczekują go jeszcze. Jakąż będzie przyszłość? Jaką będzie jutrzejsza ewolucja rosyjska? Jaka będzie przyszłość Europy, przyszłość świata? Moskwa, ten Kremlin, odgrywa obecnie w dziejach świata rolę poważniejszą niż kiedykolwiek... Jakież będą odbywać się w tych pałacach i tych katedrach zebrania przyszłe — dalekie? Dziś czerwony sztandar, krzyż, korony, orły o skrzydłach rozpostartych strzelają jednocześnie w niebo...

Czem będzie jutro?... Najświętsza Boża Matko, przez Twoje *tak* wypowiedziane w dniu Zwiastowania, przez Twe dziewicze macierzyństwo, które porodziło Wcielone Słowo, uproś miłosierdzie dla dusz, i bez względu na rozwój polityczny tych ziem o 160 miljonach mieszkańców, zachowaj tu, rozwiń tu wiarę prawdziwie i całkowicie prawowierną, wiarę pełną, w jedności z jedynym Kościołem powszechnym.

NOCNA ADORACJA. W kościele św. Anny na Orchard Street w Londynie ustanowiono przed kilku miesiącami nocne adoracje, które się odbywają w pewnych określonych terminach. Wystawienie Najświętszego Sakramentu rozpoczyna się o wpół do dziesiątej. O jedenastej kobiety opuszczają kościół, a mężczyźni czuwają aż do mszy i komunji adorujących, która się odprawia o piątej godzinie rano. Po raz to pierwszy regularnie zorganizowana nocna adoracja Najświętszego Sakramentu odbywa się w Londynie; adorujący wpisują się na listę w wielkiej ilości.

PRASA NIEKATOLICKA, A KARDYNAŁ MERCIER. Nikogo nie dziwią hołdy, składane kardynałowi Mercierowi przez prasę niekatolicką. Jest to jednak znamieniem czasu, że wielki kardynał jest tak dalece w swym charakterze kapłana katolickiego podziwiany, oceniany i rozumiany przez angielskie dzienniki wszelkich odcieni, z Times na czele.

„Ten, który w czasie wojny wziął w opiekę duszę Belgji — powiada Church Times — był wspaniale wierny swojej misji". Następnie ten sam organ podnosi miłość Boga, skromność, lojalność wielkiego kardynała, „który tak samo jak św. Anzelm i św. Tomasz z Canterbury otrzymywał rozkazy tylko od Boga i Jego zastępcy.

CHRZEŚCIJAŃSKIE SYNDYKATY W NIEMCZECH W R. 1924. Związek syndykatów chrześcijańskich ogłasza właśnie sprawozdanie roczne za 1924 r. Po podkreśleniu ekonomicznych i społecznych trudności, które osłabiły syndykaty pod koniec 1923 i z początkiem 1924 r., sprawozdanie to daje obraz, wykazujący rozwój członków w r. 1924, a z którego wynika, że pod koniec tego roku liczba sekcyj ośmnastu przyjętych stowarzyszeń spadła do 6.187, w których zgrupowało się 612.952 członków, podczas gdy w końcu 1923 r. było ich 806.992.

Przeciętna ilość członków w roku 1923 wynosiła 937.920 (230.263 kobiet) podczas gdy w r. 1924 cyfra ta spadła do 605.392 (160.819 kobiet). W ciągu 1924 r. stan członków Związku zmniejszył się o 183.970 osób. Sprawozdanie zaznacza, że strata ta nie jest wyższa stosunkowo do innych syndykatów niemieckich, i że statystyki odnoszące się do roku 1925 notują silne zwiększenie się członków przyjętych organizacyj.

Syndykat metalowców pozostaje zawsze najsilniejszą organizacją (120.666 członków pod koniec 1924 r.), natomiast syndykat robotników tekstylnych grupuje największą ilość kobiet (52.876 na 80.545).

Inna tablica wykazuje działalność syndykatów chrześcijańskich w dziedzinie umów zbiorowych. Wynika z niej, że do 31 grudnia 1924 r. syndykaty te zawarły 1.154 umów zbiorowych (było ich 1.603 pod koniec 1923 r.), i że te układy obejmowały 514.853 członków, w tem 119.707 kobiet. Syndykaty chrześcijańskie pośredniczyły w 1.661 zatargach o płacę, z których 1.151 zostało uregulowanych polubownie, w następstwie rokowań. 45 zatargów doprowadziło do strajków lub lockautów, a 465 zakończyło się wyrokiem polubownym.

INTERESUJĄCY DAR, OFIAROWANY PAPIEŻOWI PRZEZ WĘGIERSKIEGO KAPŁANA. Mgr. F. Rott, biskup z Veszprem (Węgry), który prowadził w czasie świąt Bożego Narodzenia pielgrzymkę węgierską do Rzymu, ofiarował Jego Świątobliwości podarek interesujący i cenny z punktu widzenia naukowego: kolekcję manuskryptów, złożoną z 997 tekstów „Ojcze nasz" (Pater Noster) we wszystkich językach, narzeczach, dialektach i pismach świata, zaopatrzonych w dosłowne tłumaczenia i wskazania źródeł, z których pochodzą. Twórcą tego zbioru jest ksiądz węgierski z diecezji Veszprem, Koloman Kertesz, katecheta z Balatonfüred, który go rozpoczął przed 30 laty. Jego dzieło ma wartość przedewszystkiem z punktu widzenia historji języków, ponieważ zawiera teksty Pater Noster z wieków dawnych. Ojciec Święty przyjął ten dar życzliwie.

LORD HALIFAX. Lord Halifax, dzięki szlachetności swego życia i przejrzystej szczerości, zajmuje wyjątkowe stanowisko wśród anglo-katolików, tej pełnej zapału, lecz nielogicznej grupy anglikanów, którzy dążą do zjednoczenia z Rzymem, nie używając do tego odpowiednich środków. Mimo podeszłego wieku, lord Halifax zapragnął ujrzeć raz jeszcze kardynała Mercier i był obecny na mszy, odprawionej w pokoju, gdzie w pełni przytomności gasło życie dostojnego chorego. Potem lord Halifax w mowie nader doniosłej złożył hołd przodownictwu Najwyższego Kapłana, następcy św. Piotra; dodał też, że najważniejszą przeszkodą w połączeniu się z Rzymem są „rozterki między anglikanami"; oczekiwany jednak czyn nie nastąpił, a katolicy zapytują się, czy wielki Kardynał, który przeniósł się do światłości wiekuistej, nie uprosi dla swego przyjaciela najwyższej łaski zupełnego i całkowitego przystąpienia do kościoła rzymskiego. Tymczasem, powiada „Universe" lord Halifax jest zupełnie odosobniony, nawet Church-Times w połowie tylko godzi się na jego twierdzenie, dotyczące prymatu papieża. Katolicy — ci prawdziwi — czekają, ufają i modlą się. Przegląd „Month", którego zdanie jest rdzennie rozsądne i umiarkowane, wyraża żal z powodu faktu, że lord Halifax, którego szczerość jest niezaprzeczalna, daje do zrozumienia w swych mowach, że Papież pewnego dnia zgodzi się na ustępstwa, które ułatwią zjednoczenie. Nie zdaje on sobie sprawy z tego, że prawda całkowita jest nienaruszalna; „Month" żałuje, że zwolennicy lorda, zachęcani tą fałszywą ideą, trwają uporczywie przy formułach, które są nie do przyjęcia dla Kościoła.

WIARA I NAUKA.

Spotkać się nieraz można ze zdaniem ludzi zajmujących się nauką, że spór między nauką a wiarą polega właściwie na nieporozumieniu i należy on dzisiaj raczej do historji, niż do zagadnień bieżących. Wiara i nauka bowiem, według ich zdania, mają własne swe zakresy, tak ściśle od siebie oddzielone, tak zupełnie odległe, że nie mają ze sobą żadnych punktów stycznych, a więc i o sporze między niemi mowy być nie może. Zdanie takie, które znajduje nieraz poklask także i u niedość uświadomionych katolików, trzeba przyjmować z niesłychaną ostrożnością i z wieloma zastrzeżeniami. Że wiara i wiedza, czyli nauka przyrodzona, nabyta wyłącznie siłami rozumu, mają zakresy zupełnie oddzielne, a nawet źródła skąd swe wiadomości czerpią i metody badania całkiem odmienne, to już udowodnił ów największy genjusz chrześcijański, św. Tomasz z Akwinu. Ale równocześnie udowodnił on i inną jeszcze prawdę i na tę prawdę stanowczy kładzie nacisk, że dwa te zakresy wiedzy i wiary nie są tak od siebie oddalone, by nie miały nigdzie punktów wspólnych, owszem, istnieje szereg prawd filozoficznych, opierających się na badaniu rozumowem przyrody, które są wspólne i filozofji i teologji, to znaczy nauce i wierze. Od strony nauki są to prawdy szczytowe, najwyższe do których dojść może nauka, ze strony zaś teologji są one podstawowemi dla teologji i wiary. Do rzędu tych prawd należy istnienie Boga osobowego, duchowego, bytującego oddzielnie od przyrody, istnienie duszy nieśmiertelnej w człowieku, istnienie niewzruszalnego porządku prawnego i etycznego, do którego każdy człowiek pod osobistą odpowiedzialnością musi się stosować i za jego naruszenie lub podtrzymywanie otrzymać kiedyś karę, względnie nagrodę.

Zawrotny, wszechstronny rozwój dzisiejszych nauk przyrodniczych, na których przecież spoczywają prawie wszystkie dowody i wywody filozoficzne, nie mógł nie dotykać raz poraz owych zagadnień wspólnych wierze objawionej i nauce, i jak wiemy z najnowszej historji nauk, często ich dotykał i wywoływał przez to gwałtowne, zasadnicze spory. Czy dzisiaj te spory ucichły, czy ludzie nauki odsunęli się od problemów mających związek z wiarą? Zdawałoby się, że tak, bo o dyskusjach przyrodniczo - lub historyczno-religijnych coraz mniej albo nawet całkiem nie słyszymy, w przeciwieństwie do tych dysput, które pamiętają starsi z nas, trwających zwłaszcza od połowy wieku zeszłego, a zapoczątkowanych głównie przez Huxley'a w sporze o darwinizm i pochodzenie człowieka z biskupami anglikańskimi i podtrzymywanych gorliwie przez materjalistycznych przyrodników z jednej strony a z drugiej przez wszystkich teologów i przyrodników wierzących. Jeszcze na parę lat przed wojną głośną była na cały świat dysputa ks. Wassmanna z Häcklem odbyta w Berlinie. Potem, zwłaszcza ze śmiercią Häckla, tego apostoła materjalizmu, nastała na tem polu cisza, którą przedłużyła i utrwaliła jeszcze więcej wielka wojna, ów godny płód materjalizmu i jego poglądów na walkę o byt.

I trwała ta dziwna cisza dalej poza wojnę, aż ją roku zeszłego przerwał ów znany proces w Dayton, gdzie jakiegoś nauczyciela szkół średnich oskarżono o to, że wbrew prawom krajowym nauczał w szkole skrajnego

darwinizmu, mówiącego o zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Proces ten i wrzawa nim wywołana wyjawiła i rozgłosiła jeden fakt niezmiernie doniosły, mało dotychczas ogółowi katolickiemu znany, fakt, który zarazem tłumaczy tę dziwną ciszę i ustanie sporów między naukami przyrodniczemi a wiarą. Pokazało się mianowicie w dyskusjach, jakie proces daytoński wywołał w całym świecie cywilizowanym, że obecnie niezmierna, przygniatająca większość ludzi nauki jest prawdziwej nadprzyrodzonej wierze chrześcijańskiej zupełnie obca. Można z boleścią i przerażeniem stwierdzić, że ogół prawie dzisiejszych przyrodników są to mniej lub więcej otwarci ateusze, którzy naukami przyrodniczemi tak zawładnęli, że nawet nie raczą już z wiarą walczyć, owszem, z wysokości swego „uświadomienia i zawsze ze stanowiska nauki" — oczywiście ich nauki, uznają nawet pewną potrzebe religji, zajmują się łaskawie niektóremi jej problemami, wskazują, jednak jak dziś wiara czy teologja dzięki rozwojowi nowoczesnej nauki problemy te zupełnie inaczej rozwiązywać musi, niż to czyniła dawna „tradycyjna" teologja. Na protesty też ze strony „tradycyjnych teologów" wychodzące nie zwracają uwagi albo traktują je tak, jak paleontolog traktuje skamieliny dawnych istot żywych, lub jak anatom traktuje sławne organa szczątkowe, więc jako znamienne ślady i pozostałości konieczne powszechnej ewolucji.

Niezmiernie charakterystycznym i ciekawym, a niepozbawionym, wbrew oczywiście intencji bardzo poważnych autorów, humorystycznego pierwiastka, dowodem opisanego tutaj nastroju dzisiejszych powag naukowych jest książka angielska, która ukazała się przed paru miesiącami w Londynie pod tytułem: *Science, Religion and Reality* (Nauka, religja i rzeczywistość) (str. V i 396). Autorów ma ta książka aż dziesięciu, albo raczej jest to zbiór dziesięciu rozpraw, pisanych przez bardzo znanych specjalistów w rozmaitych dziedzinach nauki. Zaczyna się on rozprawą, jakby wstępem, napisaną przez Lorda Balfoura, poczem idzie znany w świecie naukowym zagranicą antropolog Dr. Bronisław Malinowski, dalej historyk dr. Karol Singer, następnie astronom królewski, znany na cały świat prof. Artur S. Eddington, biolog Józef Needham i t. d., aż wreszcie zamyka ten poczet głośny angielski teolog — lucus a non lucendo, — dziekan Inge.

Jak poważnie i z jakiem zainteresowaniem książkę tę w świecie naukowym przyjęto, świadczy o tem choćby bardzo obszerna jej recenzja, podana w największym tygodniku przyrodniczym angielskim *Nature*. Sprawodawca uważa tę książkę za „solidny i ważny przyczynek do sprawy stosunku między nauką i religją a nadto jest ona uwagi godną przez to, że pokazuje, jak wielka zmiana zaszła w stanowisku zarówno teologów jak i przyrodników względem tego zawsze przed nami obecnego problemu". „W tej książce, czytamy dalej, zniknął duch antagonizmu, a pozostało tylko poważne poszukiwanie nie za kompromisem lecz za pojednaniem. Karty jej tchną pełną rozumu słodyczą, a czytelnik pragnąłby prawie nieco brzęku szabli" — czyli więcej polemicznego ugruntowania twierdzeń. Rozrzewnienie, jakie nas ogarnia na widok tego tak niespodziewanego a błogiego nastroju pokoju i zgody, ustąpić jednak musi zaraz pewnemu, powiedzmy może, zakłopotaniu, gdy nam nasz sprawozdawca wyjaśni przyczynę tego nastroju. „Teolog, mówi on, zdaje sobie sprawę z tego coraz to bardziej, że musi jasno

przyjąć ściśle udowodnione fakta nauki i rzucić poza pokład bezwzględnie przeżyte kosmologje i bajki o stworzeniu". Z drugiej jednak strony także i „człowiek nauki zaczyna poznawać, że zasadami, które mu oddają usługi w badaniu świata materjalnego, nie można bezpiecznie wznieść obejmującej wszystko filozofji bytu". Jest jasnem chyba dla każdego i oczywistem, że z taką teologją, która odrzuca „pewne kosmologje i bajki o stworzeniu", każdy przyrodnik zgodzić się może, byle tylko uznał, że „zasady stosowane przez niego w doświadczalnem badaniu przyrody, nie wystarczają", to znaczy, że nie można zbudować jakichkolwiek poglądów czy systemów ogólnych filozoficznych, a tem bardziej religijnych, gdy się nie chce uznać nic poza zjawiskami podległymi bezpośredniej obserwacji. Otóż taki teolog i taki przyrodnik łatwo się pogodzą i stwierdzą zgodność między dzisiejszą nauką a tem, co oni nazywają wiarą. Celem pokazania jak w ten sposób pojęta zgoda wygląda w praktyce, przytoczę parę przykładów z omawianej tu książki.

Człowiek pierwotny a religja.

Dzisiejsi ludzie nauki stoją prawie wszyscy na stanowisku, że ludzkość swój byt na ziemi zaczęła na bardzo nizkim stopniu kultury. „Pierwszy człowiek" był według nich potomkiem jakiejś bardzo wysoko zorganizowanej pary zwierzęcej, zapewne tak zwanych małpoludów. Były to formy przejściowe między małpą a człowiekiem, stąd i anatomicznie różniące się zarówno od małp, jak i od człowieka. I kiedy ludzkość swą historję na ziemi zaczęła mniej więcej 10 tysięcy lat przed Chrystusem, to na owo przejście od zwierząt do człowieka, czyli na ewolucję, by z małpy wykształcił się człowiek, potrzeba było zdaniem tych przyrodników wiele setek tysięcy, może i miljonów lat.

Skoro wiec ten człowiek pierwotny pochodził od zwierząt, nic dziwnego, że stan jego psychiczny musiał być z początku niezmiernie nizki i że dopiero w ciągu wielu i wielu wieków wyrabiać się w nim zaczęły pojęcia oderwane, wyższe, aż wreszcie doszedł do pojęć i uczuć religijnych. Jak to się działo, odtworzyć proces ten i opisać usiłuje w omawianej książce, znakomity antropolog dr. Malinowski, w artykule zatytułowanym: *Magic, Science and Religion* (Magja, nauka i religja), o którym recenzent w *Nature* mówi, że jest dobrze przemyślany i interesujący. Oparł go autor głównie na osobistych badaniach, jakie czynił nad religją mieszkańców Melanezji, owej grupy wysp, położonej na północny wschód od Australji, noszącej nazwę od ciemnej barwy skóry mieszkańców, a obejmującej Nową Gwineę, Nową Kaledonję, Nowe Hebrydy i t. d. Malinowski rozróżnia trzy sfery w praktycznem życiu dzikiego, mianowicie sferę praktyczno-naukową, sferę magji i sferę religji. Praktycznym człowiekiem nauki jest człowiek dziki w postępowaniu z otaczającym go światem, gdy czyto jako rolnik, czy jako myśliwy, obserwować musi przyrodę, poznawać jej stałe właściwości, by według tychże regulować pracę na roli lub móc upolować zdobycz. Gdy natomiast pragnie wynaleść sposoby, zapomocą których mógłby na swą korzyść lub na zgubę wroga wpływać na siły i przedmioty przyrody, wtedy wchodzi on w drugą sferę praktycznego życia, mianowicie w świat

czarów i magji. Religja natomiast według Malinowskiego ma zadanie przedewszystkiem socjalne. „Wiara religijna — mówi on — ustala, umacnia i podwyższa wszystkie wartościowe usposobienia umysłowe, jak uszanowanie tradycji, harmonję z otoczeniem, odwagę i ufność w walce z trudnościami, i wobec niebezpieczeństwa śmierci. Ta wiara, wcielona w kult i obrzędy, ma niezmierną wartość biologiczną, i odsłania przed człowiekiem pierwotnym prawdę w znaczeniu szerszem, pragmatycznem tego słowa".

Czytając te słowa wybitnego zresztą antropologa, trzeba zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Najpierw na sposób w jaki one tłumaczą powstanie religji a po drugie na to, co Malinowski rozumie pod prawdą. Co do pierwszego to przypomnieć sobie trzeba, że antropologowie z biegiem czasu, począwszy od Hume'a postawili liczne i sprzeczne między sobą teorje, za pomocą których chcą wytłumaczyć fakt powstania i istnienia religji, i dotychczas bynajmniej na jedno się nie zgodzili. Nic w tem zresztą dziwnego, bo gdy wychodzą z całkiem błędnego i zupełnie dowolnego założenia, że „człowiek pierwotny" powstał od zwierzęcia i inteligencją swoją równy jest prawie zwierzęciu, więc na tropie, po którym idą, wogóle prawdy być nie może. Jedną z takich teoryj jest tak zwana teorja socjalna, uważająca religję za zjawisko przedewszystkiem społeczne, które powstało dopiero wraz z zorganizowaniem się „pierwotnych ludzi" w pewne towarzyskie społeczne związki. Ta teorja, która swój triumf święciła przed jakiemiś dwudziestu laty, dziś straciła prawie zupełnie zwolenników, a więc dr. Malinowski, który jak widzimy z powyżej przytoczonych słów jego, należy właśnie do tej szkoły socjalnej, jest jednym z jej epigonów. Dzisiaj badacze powstanie religji tłumaczą przedewszystkiem psychologicznie, jako potrzebę umysłu i duszy człowieka każdego.

Co się zaś tyczy definicji prawdy, odgrywajacej oczywiście w religji rolę pierwszorzędną, to Malinowski idzie tu za James'em i pragmatykami, według których prawdą jest to, co jest w danej chwili pożyteczne, którzy też nie przyjmują prawdy absolutnej a więc i Boga niezmiennego, absolutnego, przyjąć nie mogą. Jasnem jest, że z taką religją łatwo się pogodzi przyrodnik ewolucjonista.

Dalej jeszcze niż inni autorowie tego dzieła idzie w swych poglądach materjalistycznych jego główny wydawca Needham i otrzymuje nawet pewną naganę za to od krytyka w „Nature". Needham bowiem staje wprost po stronie mechanistycznej, utrzymując, że dzisiaj zoologja musi ustąpić biochemji, a fizjologja biofizyce, to znaczy, że wszystkie zjawiska życiowe należy tłumaczyć działaniami czysto fizycznemi i chemicznemi. Jednak i on przyznaje, że „że chociaż światopogląd mechanistyczny w biologji jest całkowicie usprawiedliwiony, nawet konieczny, to jednak nie można go stosować do psychologji, „a nawet takie zagadnienia, jak rozmieszczenie zwierząt na ziemi i ogólna teorja ewolucji, która w sposób oczywisty poddaje badaniu usiłowania umysłu świadomego, nie podpada pod całkowity zakres fizyki i chemji". Jak daleko sięga ten „umysł" i jaka jego natura, o tem Needham dyskretnie zamilcza. Wogóle pamiętać trzeba, że u tych ludzi uczonych, a niewierzących, nie mających więc podstaw prawdziwej filozofji, panuje zamęt i zamieszanie pojęć i często sami oni siebie nie rozumieją albo nie

przemyśliwują logicznie doniosłości i następstw swych twierdzeń, trudno więc wymagać, żeby czytelnikowi jasno tłumaczyli swe myśli. Zresztą jasność i logiczna spoistość w sprawach i prawdach wiary jest tylko wyłącznie w kościele katolickim, a kto poza niego myślą wybiegnie, musi natychmiast wplątać się w nie dające się rozedrzeć zarośla sprzeczności i niedorzeczności.

Epoka sporów między nauką a religją

Dr. Malinowski stwierdza, w słusznym związku ze swemi teorjami powstania religij, że u człowieka „pierwotnego" niema sporów między nauką a religją, a niema ich z powodu zbyt nizkiego jeszcze rozwoju nauk. Mimochodem narzuca się tu uwaga, że u naszego, chrześcijańskiego pierwotnego człowieka, ten spór pod pewnym względem już powstał i on był przyczyną upadku. Bo przy grzechu pierworodnym chodziło o zerwanie i spożycie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego, a więc o wiedzę, wiedzę niedozwoloną i która wyrokiem bożym miała być narazie przynajmniej przed człowiekiem zamkniętą. Później, gdy po popełnieniu grzechu pierworodnego „otworzyły się, jak mówi Pismo św. człowiekowi oczy", i nastąpiło zamieszanie i bunt przeciwko człowiekowi zarówno świata zewnętrznego jak i wewnątrz jego istoty, w świecie wewnętrznym. Odtąd musiał człowiek zawsze całą siłą walczyć ze sobą, by ciągle rozum swój poddawać pod rozum boży, i zawsze i stale uważać za prawdę to, co Bóg objawił.

Lecz czy wydarzyło się kiedy, by rozum, nauka, doszła do jakiej prawdy, która sprzeciwiała się prawdzie teologicznej, objawionej? Na to pytanie wręcz odpowiedzieć trzeba, że wypadku takiego nietylko nigdy nie było, lecz że i w przyszłości wydarzyć się on nie może, bo źródło prawdy wszelakiej jest tylko jedno, a jest niem Bóg. Gdyby więc co innego odkrył w przyrodzie rozum ludzki, a co innego nauczała wiara, to znaczyłoby to, że Bóg sobie sam się sprzeciwia, lub chce ludzi w błąd wprowadzić, a to jest głupstwem i niemożliwością. Tak bowiem światło rozumu, i prawa myślenia, jak i światło objawienia, pochodzą od Boga wyłącznie. Zdarzało się jednak nieraz, że z jednej strony uczeni podawali za prawdę i za pewną zdobycz nauki, to, co było tylko ich przypuszczeniem, hipotezą, z drugiej zaś strony niektórzy teologowie, jako uczeni prywatni, podawali za artykuł wiary to, co nim nie było, i takie stanowisko wywoływało spory i sprzeczności między wiarą i nauką. Sprzeczności te jednak były tylko pozorne, polegające na nieporozumieniu, lub zacietrzewieniu we własnem zdaniu.

W tej właśnie materji jest ciekawy artykuł dra Singera w omawianej obecnie książce, zatytułowany: *Stosunki historyczne religji i nauki.* Przerywa on w nim co prawda swoje rozważania na punkcie najbardziej zajmującym, bo na Newtonie i nowoczesnej kosmogonji, a zajmuje się tylko starożytnością i wiekami średniemi. Już o tych jednak epokach czyni autor ciekawą uwagę, że począwszy od stoicyzmu wiele religij było wrogami nauki i paraliżowało ducha swobodnego badania. Stawia też sobie autor pytanie, dlaczego między rokiem 200 a 1500 naszej ery nauka tak upada? Czyż by to był wpływ Kościoła czy może Arystotelesa?

D. n. *Ks. Feliks Hortyński.*